

"Twoja praca nie jest nam potrzebna, tylko..."

© ARCHIWUM WSKRZESIENIA

TADEUSZ JAWOROWSKI syn Franciszka i Bronisławy urodzony
14 XII 1916 w Kołomyi.

Zamieszkały: Drohobycz ul Raniowiecka 3 - wspomina:

Do Armii Krajowej w Drohobycz oddział "Polmin" wstąpiłem
w pierwszych dniach marca 1942r.

Przysięgę złożyłem przed Komendantem AK Stanisławem Li-
woszem pseudonim "Mija" w jego mieszkaniu. Otrzymałem pseudo-
nim "Jasion".

Moim pierwszym zadaniem było organizowanie nowych członków
AK. Jako jeden z pierwszych chętnych do pracy w AK był Wilhelm
Kawalec pseudonim "Orzeł". Mieszka obecnie w Gorcach.

Drugie zadanie, to rozpracowanie lotniska w Drohobycz.
Miałem zdobyć wiadomość ile jest wojska, samolotów.

Pamiętam tę akcję. Grupa sześciu AK-owców dostała zadanie
zdobycia broni.

Z rafinerii "Polmin" w kierunku osiedla była droga długo-
ści półtora kilometra, wysadzana drzewami jabłoni. Droga tą
ohodził niemiecki patrol.

Wieczorem, była już szarówka, sześciu AK-owców /bez broni/
weszło na te drzewa.

Aleją szedł patrol wojskowy - trzech uzbrojonych Niemców.
Nasi chłopcy skoczyli z drzew na Niemców. Rozbroili ich, rozebra-
li do bielizny. Niemcom rozkazali wrócić do portierni.

Była to akcja nie tylko odważna, ale wypadła dość zabawnie.
Represji po akcji nie było.

Koledzy z AK pracujący w rafinerii w sobie tylko wiadomy
sposób zabierali co pewien czas z zakładu pasy transmisyjne.
Brak ich uniemożliwiał produkcję specjalnej benzyny do samolo-
tów. Niemców wprowadzało to w wielkie zakłopotanie.

Pracowałem w rafinerii "polmin" jako kierownik ogrodu warzywnego o powierzchni osiem hektarów ziemi. Miałem łatwe dojście w zakładzie do laboratorium.

Otrzymałem polecenie dostarczenia dla AK sto dziesięć kilogramów kwasu siarkowego, oraz trzy i pół kilograma trójchloranu potasu.

Z laboratorium otrzymałem dwie butle po pięćdziesiąt litrów kwasu siarkowego. Janina Dubik - laborantka przyniosła mi, ale tylko dziewięćdziesiąt dekagramów trójchloranu potasu /nie była wtajemniczona w sprawę/.

Kwas siarkowy i trójchloran potasu były potrzebne do robienia "termitówek". Służyły one do podpalania niemieckich magazynów zbożowych, siana w okolicy Drohobycza.

Otrzymane środki chemiczne miałem w szklarni na terenie ogrodnictwa.

W kwietniu 1943r Niemcy zrobili rewizję w szklarni. Znaleźli kwas siarkowy. Mnie natomiast aresztowali. Trzymali mnie w budynku ośrodka zdrowia na terenie rafinerii. Oskarżyli o współpracę z AK i podpalanie magazynów.

Z chwilą jak mnie aresztowali koledzy z AK /jak się później dowiedziałem/ z domu moich rodziców usunęli wszystko co było do robienia "termitówek".

Niemcy przyjechali, zrobili rewizję, niczego nie znaleźli. Mieszkanie było już czyste.

Na pierwszym śledztwie tak uderzyli mnie w głowę, że straciłem przytomność. Po odzyskaniu przytomności zobaczyłem, że jestem zboczony krwią, zlany wodą.

I znów pytania: Kontakty, nazwiska, w jakim celu mam tyle środków chemicznych?

Wyjaśniłem, że środki chemiczne potrzebne są w ogrodnictwie do opryskiwania drzew przeciw szkodnikom. Na inne pytania w ogóle nie odpowiadałem.

Przesłuchanie i bicie powtarzało się co kilka godzin przez cztery dni.

Wezwano ze Lwowa Niemca - chemika. Potwierdził on moją

teorię: z połączenia kwasu siarkowego z wapnem powstaje siarczan wapna i może służyć do opryskiwania drzew przeciw szkodnikom.

To mnie uratowało. Zwolnili mnie z aresztu. Wróciłem do domu. Od tej pory jednak nie nocowałem w domu.

Rano poszedłem do pracy w ogrodnictwie. Kontaktowałem się jedynie z Komendantem Bielikiem pseudonim "Zych" i tylko na terenie zakładu pracy.

Mój Komendant Stanisław Liwosz i Draganik /imienia nie pamiętam/ zostali zamordowani przez banderowców. Zginęli w czerwcu lub lipcu 1943r nad rzeką Bystrzycą /dopływ Dniestru/.

W piękny słoneczny dzień przed godziną piętnastą pod koniec pierwszej zmiany w ostatnich dniach czerwca 1943r Amerykanie zbombardowali rafinerię. Ile zginęło robotników trudno powiedzieć. Wiem, że pracujący najbliższej bramy w czasie bombardowania chcieli uciekać, ale Niemcy nie pozwolili. Zaczęli strzelać do uciekających pracowników.

Miałem zakopcowanych sto ton ziemniaków. W czasie bombardowania, kopce, zostały rozbite. Ludzie rozebrali między siebie ziemniaki.

Do Drohobycza Rosjanie weszli ponownie w sierpniu 1944r. W październiku 1944r zgłosił się do mnie zastępca inspektora grupy Drohobycz-Sambor Jan Bieniasiewicz pseudonim "Karol" "Lis" który poinformował mnie, że w dalszym ciągu praca AK będzie kontynuowana. Powiedział: "Teraz będziemy prowadzić działalność przeciwko dwóm okupantom".

Moja praca polegała na przekazywaniu informacji po jakich kwaterach rozmieszczone jest wojsko radzieckie, ile osób?

W nocy 13 III 1945r o godzinie drugiej łomot do drzwi zerwał nas wszystkich ze snu. Tato wstał otworzyć. Przy drzwiach wypytywał kto tak brutalnie dobija się o tej porze. Okazało się, że to wójt naszej dzielnicy Ukrainiec Hnat. Powiedział on, że przychodzą sprawdzić dokumenty.

Tato otworzył drzwi. Do mieszkania weszło pięciu z NKWD "śmiersz".

Pierwsze słowa to: "gdzie jest syn"? Z pokoju odpowiedziałem: "jestem" i zaraz wstałem z łóżka.

Zostałem kilkakrotnie uderzony w twarz. Żołnierz NKWD bił mnie i pytał: "gdzie jest broń"? Odpowiedziałem, nie mam broni. Znowu zostałem kilka razy uderzony.

Rozkazali ubrać się, bo zabierają mnie do NKWD.

Wyprowadzili mnie z mieszkania. Na ulicy stał ciężarowy samochód. Wrzucili mnie do tego samochodu. Rozkazali, abym leżał na podłodze. Bieniasiewicz już tam leżał.

W samochodzie było chyba dziesięciu żołnierzy z karabinami gotowymi do strzału.

W mieszkaniu rodziców zrobili gruntowną rewizję. Zabrali: zegarek Omega - pamiątka z Chrztu Świętego, ubrania, naczynia stołowe. Wzięli to, co im się podobało.

Po moim aresztowaniu nachodzili rodziców urzędnicy władz miejscowych / w mundurach/ i wprost mówili, aby wyjechali do Polski. W tej sytuacji rodzice zdecydowali się i wyjechali w październiku 1945r. Ja o tym dowiedziałem się po powrocie z Sybiru.

Na miejscu w NKWD ustawili mnie twarzą do ściany i tak stałem osiemnaście godzin. Nie było przesłuchania. Nie wolno było usiąść. Nie dali żadnego posiłku. Jedynie na moją prośbę wyprowadzali mnie do ubikacji.

Po osiemnastu godzinach przyszedł śledczy. Przedstawił się. Podał nazwisko: RABINOWICZ.

Zadał mi następujące pytania: Nazwisko? Jakie funkcje pełniłem w AK? Nazwiska kolegów?

Podąłem swoje nazwisko. Na pozostałe pytania - milczałem. Śledczy zawołał dwóch mężczyzn o silnej budowie ciała.

Jeden z nich miał żelazny pręt kwadratowy pręt grubości 2cm. W ich obecności Rabinowicz zadał te same pytania. Odmówiłem odpowiedzi.

Śledczy, tym razem zwrócił się do tych dwóch, aby się mną zajęli.

Jeden z nich podszedł i uderzył mnie w twarz tak, że upadłem. Drugi podskoczył, przewrócił mnie twarzą do podłogi, siadł na moich udach. Ten, który uderzył mnie w twarz, teraz bił mnie kwadratowym żelaznym prętem po piętach i zadawał pytania: Nazwiska, funkcje w AK? Bili do utraty przytomności. Ocknąłem się, było mi zimno - byłem zlany wodą.

¶ I znów te same pytania i ten sam sposób bicia. Taki zabieg powtórzyli kilka razy. Później zrobili dłuższą przerwę, chyba kilkugodzinną. Ponowne przesłuchanie, bicie po twarzy, plecach, bili po całym ciele. Skóra popękała - krwawiła. Zostałem wyniesiony do celi, bez udzielenia pomocy lekarskiej, bez posiłku.

Po kilku dniach ponowne śledztwo i tak trwało do 18 V 1945r. Tego dnia zostałem wywieziony samochodem ciężarowym z Drohobycza do Lwowa.

W samochodzie było nas czterech mężczyzn. Musieliśmy leżeć na podłodze. We Lwowie załadowali nas do wagonu "więźniarki". "Więźniarka" to rodzaj boksu, tam można tylko stać lub w kucki usiąść. W czasie tej podróży dali nam gorącej wody i dwa śledzie bez chleba. Posiłek taki otrzymałem dwa razy. Podróż trwała czterdzieści godzin.

Pociąg zatrzymał się w Kijowie. Samochodem "więźniarką" zawieźli mnie do Ministerstwa Spraw Wewnętrznych ul Winogradna w Kijowie. Wieźli nas sześciu mężczyzn.

Tam ponowne śledztwo. Sposób pytań i bicia ten sam. I śledczy ten sam - Rabinowicz.

Śledztwo zostało zakończone pod koniec lipca, a raczej w sierpniu 1945r.

Samochodem "więźniarką" zawieźli mnie do więzienia "Łukijanówka" w Kijowie.

Dali mnie do celi, gdzie byli: Kazimierz Pacześniak, Tadeusz Ochenduszek, Michał Gajewski, Antoni Lech, Białas /imienia nie pamiętam/. I jeszcze jedno nazwisko, ale nie mogę sobie przypomnieć.

Wkrótce do tej celi weszło trzech wojskowych, usiedli przy małym stoliku, na białych jakich taboretach. Myśmy stali.

Odczytali nam wyroki:

Antoni Lech	kara śmierci
Tadeusz Jaworowski	kara śmierci
Michał Gajewski	15 lat więzienia
Tadeusz Ochenduszek	15 lat więzienia
Kazimierz Pacześniak	10 lat więzienia
Białas	10 lat więzienia
Jan Bieniasiewicz	10 lat więzienia

Był jeszcze jeden mężczyzna, którego nazwiska w tej chwili nie pamiętam.

Oprócz więzienia skazani na: pięć lat zsyłki i pięć lat pozbawienia praw obywatelskich.

Nikt z nas nie podpisał się pod tym wyrokiem. Powiedzieliśmy, że jesteśmy cudzoziemcami i nas może sądzić tylko Trybunał Międzynarodowy. Jesteśmy więźniami politycznymi. W odpowiedzi usłyszeliśmy: "głupi! - my mamy swój kodeks".

Tych z wyrokami przewieźli do punktu przesylnego przy ul. Dichtirowskiej 6 w Kijowie.

Antoni Lech i ja zostaliśmy wyprowadzeni każdy oddzielnie, do pojedynczej celi śmierci w więzieniu Łukijanówka.

Cela mała. Dwa kroki długa i półtora kroku szeroka. Ściany i podłoga betonowe, wilgotne. Łóżko zamykane automatycznie do ściany o godzinie szóstej rano. W ciągu dnia można tylko chodzić lub stać. Usiąść na podłodze nie wolno. Strażnik co pewien czas sprawdzał przez okienko. Drzwi w celi podwójne. Od korytarza zamykane automatycznie, od wewnątrz celi zrobione z prętów żelaznych. W tych drzwiach okienko. Przez okienko na kociubie były podawane posiłki dwa razy dziennie.

Porcja zupy "bakanda" i trzydzieści dekagramów chleba. Tak samo wieczorem.

Pierwsze dni były koszmarnie. Każdy szmer na korytarzu, jaki dochodził przez szczelne drzwi, odbierałem jako sygnał, że już idą po mnie. Po dziesięciu dniach zacząłem się przyzwyczajać, zobojętniałem na wszystko. Taki stan niepewności i strachu trwał 74-ry dni.

1/ kociuba - łopata

Wywołali mnie z celi. Miałem uczucie, że właśnie nadeszła ta chwila - moja godzina śmierci. Okazało się, że zostałem wezwany do kancelarii więziennej, gdzie został mi odczytany nowy wyrok skazujący mnie na piętnaście lat ciężkich robót, pięć lat zsyłki i pięć lat pozbawienia praw obywatelskich. Wyrok podpisałem.

Przewieźli mnie na punkt przesylny ul Dichtirowska 6 w Kijowie.

Tam wrzucili mnie do celi, gdzie byli tak zwani "bosiaki" - ludzie skazani za: kradzieże, rozboje.

Cela o rozmiarach cztery na cztery metry, w której znajdowało się około osiemdziesiąt osób. Mnie jako nowemu wyznaczono miejsce koło "paraszy".

"Bosiaki" zajęli się mną. Zabrali mi płaszcz, marynarkę, spodnie, buty, koc. Zostałem w bieliźnie i skarpetkach.

W tej ciasnocie spaliśmy prawie jeden na drugim. Było gorąco, duszno, a z "paraszy" wydzielał się odór. Okienka nie wolno było otworzyć.

Rozdzielanie posiłków

Do celi wnosili kociołek z "bałandą" i chleb. "Urki" dzielili zupę.

Najpierw swoim dawali gęstą zupę od spodu. Nam politycznym dawali samą wodę i przy tym śmiali się, że dają nam z wierzchu sam tłuszcz. Porcję chleba trzydziści pięć dekagramów dzielili podobnie. Przeważnie połowę chleba zabierali "urki" dla siebie. Byliśmy bezradni. Strażnicy więzienni nie interesowali się rozdziałem posiłków. Okradani w ten sposób byliśmy dwa razy dziennie.

Co trzy dni byliśmy wyprowadzani na spacer, który trwał dwadzieścia minut.

Po trzech tygodniach pobytu w więzieniu można było zgłosić się na ochotnika do pracy. Pracy dla wszystkich więźniów nie było. Chodziliśmy więc do pracy co drugi, trzeci dzień. Usuwaliśmy gruz z ulic. Kilka razy pracowałem przy wyrabianiu

obudowy do granatów.

W pracy dostawałem dziesięć dekagramów chleba i pięćdziesiąt dekagramów rzadkiej kaszy czumizy. Ziarno bez znaczenia odżywczego.

Spotkałem tutaj dużo Polaków - kobiet i mężczyzn. Były również dzieci rosyjskie w wieku 10 - 12-tu lat. Prawdopodobnie za podrzucanie ulotek antyradzieckich. Dziewczynki, które siedziały z nami w więzieniu, robiły mężczyznom propozycje za kawałek chleba. Tak żyłem do grudnia 1945r.

Zostałem przydzielony do Promkażonia Łagier nr 3 Kijów ul Dichtirowska. Obóz pracy przymusowej. Miałem już lepsze warunki. Zamieszkałem w dużym baraku. Było nas trzy brygady. Każdą brygadę miała dwadzieścia sześć osób. Spaliśmy na narach piętrowych, na gołych deskach. Do przykrycia się mieliśmy kocy.

W obozie tym rano o godzinie piątej była pobudka. Praca od godziny 6-tej do 12-tej z jednogodzinną przerwą. Następnie od 13-tej do 18-tej dalsza praca.

W czasie przerwy w pracy od godziny 12-tej do 13-tej dostawaliśmy porcję zupy "bałandy", dziesięć dekagramów kaszy i czterdzieści dekagramów chleba. Jeśli wykonałem ponad 100% normy, to dodatkowo dostawałem dziesięć dekagramów chleba i pięćdziesiąt dekagramów kaszy. Pracowałem nadal przy odlewaniu obudowy do granatów. Wozikiem piasek.

W baraku była umywalnia. Myliśmy się zimną wodą, bez mydła. Osoby, które były wcześniej zasądzone, pomagały nowym. Mnie pomagała pani Rybicka. Dzieliła się chlebem.

Pracowałem tutaj jako: stolarz, kominiarz, malarz, murarz. Praca murarza była ciężka i niebezpieczna. Piece piekarskie były zbudowane ze zwykłej cegły. Przy wyjmowaniu chleba z pieca w podłożu powstawały wyrwy.

Ubierałem dwie mokre kufajki, wchodziłem do gorącego jeszcze pieca. Zwykłą cegłą wstawiłem w podłoże, zamuroywałem zaprawą i wyciągali mnie z pieca. Praca ta miała również za-

lety. Do wiaderka, w którym nosiłem zaprawę, wkładałem cztery bochenki chleba. Przykrywałem pokrywą, na której była zaprawa. W ten sposób przynosiłem chleb do obozu przez trzy miesiące tj. przez okres pracy w piekarni.

Zmieniono mi pracę. Malowałem pomieszczenia w barakach. Stawiałem piece i malowałem mieszkania naczelnikom. Do pracy prowadziło mnie trzech konwojentów.

W mieszkaniu naczelnika byłem dobrze traktowany. Miałem całodzienne utrzymanie, dostałem nawet cukier, kawałek słoniny i papierosy. Była to praca dobra, ale sporadyczna.

Natomiast praca kominiarza była ciężka, niebezpieczna. Bez zabezpieczenia musiałem chodzić po dachach. Pracowałem tak przez pół roku.

Czułem się bardzo źle, poszedłem do lekarza i w poczekalni straciłem przytomność. Zanieśli mnie na noszach do szpitala, gdzie leżałem dwa tygodnie. Wyszedłem jako inwalida trzeciej grupy z nadciśnieniem 180/130-

Otrzymałem zwolnienie z pracy na okres trzech miesięcy. Wróciłem po trzech miesiącach do pracy, ale robiłem tylko przegląd pieców - obijałem się wśród pracujących do listopada 1947r.

W pierwszych dniach grudnia 1947r w grupie 1500 mężczyzn wywieźli nas pociągiem do Krymiencezugi do robót polowych. Jechaliśmy trzy tygodnie - pociąg często stawał na boczniczy. W czasie podróży dawali nam jeden raz dziennie trzydzieści dekagramów chleba, cztery śledzie i gorącą wodę.

Wszyscy więźniowie mieli wyroki do dziesięciu lat, nie byli polityczni. Zostali więc przyjęci do pracy. Mnie nie przyjęli. Mój wyrok 15 lat i byłem polityczny.

Droga powrotna trwała dwa tygodnie. Sami konwojenci dawali mi "czyr" co drugi lub trzeci dzień. /czyr, to gorąca woda zasypa-
na małą ilością zmiotek grysu, niby mąki/.

Wróciłem do tego samego obozu, do grupy budowlanej. Oczyszczaliśmy z gruzu plac Kryszczatyk w Kijowie. Praca 12-cie godzin dziennie, normy wysokie. W ten sposób pracowałem do

końca czerwca 1948r.

W ostatnich dniach czerwca zostałem wytypowany na etap. Załadowali nas do bydłych wagonów po 160 mężczyzn w wagonie. Część ludzi spała na podłodze, a część stała, bo nie było miejsca i tak na zmianę. Dziura w kącie wagonu jako ubikacja. Okienka małe, zakratowane drutem kolczastym. Wagon zamknięty od zewnątrz.

Jeden raz dziennie dostawaliśmy trzydzieści dekagramów chleba i gorącą "bałandę". Podróż trwała jeden miesiąc.

Przez całą podróż jeden raz dziennie liczyli nas. Pociąg zatrzymywał się. Do wagonu wchodziło przeważnie sześciu żołnierzy z drewnianymi młotkami. Nas ustawili po jednej stronie wagonu. Najpierw młotkami sprawdzili ściany wagonu, czy nie ma obłuzowanych desek. Następnie stanęli po trzech naprzeciw siebie. Nam rozkazali przechodzić na pustą stronę wagonu. Myśmy przechodzili, a oni młotkami bili nas. Zdarzało się, że pomylili się w liczeniu, lub celowo tak mówili. Wówczas rozkazali wrócić na poprzednie miejsce i od nowa musieliśmy przechodzić na wolną część wagonu. Żołnierze ponownie liczyli i bili. Tak znęcali się nad nami trzy razy dziennie przez miesiąc podróży. /Pan Jaworowski rozpłakał się/.

W czasie podróży więźniowie chorowali, mieli gorączkę. Pomocy lekarskiej nie było. Zmarłych z wagonu zabierali jak pociąg stał na bocznicach.

Pod koniec lipca 1948r byliśmy w Krasnojarsku. Z Kijowa wyjechało nas około 3000 więźniów. Wysiedliśmy z pociągu. Spędzili nas na plac - punkt rozdzielenia, otoczony drutem kolczastym. Na terenie byli już "urki". Wszyscy przez trzy dni żyliśmy pod gołym niebem. Tylko dozór miał mały barak.

Wieczorem, około godziny dwudziestej pierwszej powstała walka między "urkami", a politycznymi. "Urki" zabierali nam ubrania. Walka trwała ponad trzy godziny.

Najpierw ochrona na wyżkach zaczęła strzelać w powietrze. Niewiele to pomogło. Wkroczyło więc dowództwo z większymi si-

łami żołnierzy. Stopniowo zaczęli rozdzielać politycznych na jedną stronę, a "urków" na drugą.

Po uciszeniu bójki straż pozostała już na terenie obozu. Poturbowanych mężczyzn po obu stronach było dużo.

W trzy dni później, zaprowadzono nas na statki na rzece Jenisej.

My byliśmy w dolnej części pokładu barki. Na pokładzie straż. Jeden holownik ciągnął trzy barki. Takich holowników było kilka.

Wyżywienie na barce.

Pierwszego dnia rano dostaliśmy trzydzieści dekagramów chleba, w południe i wieczorem zupa "bażanda".

Drugiego dnia zmniejszyli o połowę porcję chleba, a zupa "bażanda" rozwodniona bez krup sına woda.

Następne trzy dni bez jedzenia. Woda do picia z Jeniseju. Szóstego dnia dali "czyr".

Polak - dr Matoszka mówił do więźniów, by nie pili "czyru", ani wody z Jeniseju, bo grozi tyfus i ozerwonka. Byli tacy, którzy nie usłuchali. Zachorowali na tyfus i zmarli. Zmarłych z barki wrzucano do Jeniseju.

Po trzech tygodniach dotarliśmy do portu Dudinka. Konwojenci wywlekli nas z pokładu barki na brzeg. Nie byliśmy zdolni wyjść o własnych siłach.

Z transportu najmniej jedna trzecia została w Jeniseju. W Dudince władze ogłosiły nam, że konwojenci, którzy nas wieźli, sprzedali żywność przeznaczoną dla nas na czas podróży. Dowódca i jego podwładni zostali zasądzeni za roztrwonienie majątku państwowego i niedożywienie ludzi. Dostali po 15 lat więzienia. Czy tak było naprawdę?

Port w Dudince, to barak z desek w kształcie szopy. Za podmuchem wiatru deski falowały jak firanka.

Nas znów umieścili na pustej przestrzeni z tym, że był dach. Jest nam zimno. Czekamy na przewóz kolejką wąskotorową do Norylska. Wagonik zabierał od 50 - 60 osób. Ja czekałem na swoją kolejkę pięć dni.

W Norylsku kompletowano nas w grupy od 800 - 1000 ludzi. Obóz, do którego ja szedłem, był na paśmie górskim. Po skałach szliśmy gęsiego. Wędrówka - wspinaczka trwała cały dzień. Myśmy ledwo nogi wlekli. Dotarliśmy wreszcie do punktu przeznaczenia. Był to szupek nr 19.

Pusta przestrzeń bez drzew i krzewów. Ziemia zamarznęta. Tylko stoki wystawione do słońca nie były jeszcze zamarznęte.

Przystąpiliśmy do budowy baraków mieszkalnych. Materiał budowlany transportowany był tak zwaną pocztą z nizin Norylska na pasmo gór Niedźwiedzi Ruczaj. Utworzył się łańcuch ludzi i materiał budowlany jak deski, drzewo podawali jeden drugiemu.

W niecałe trzy tygodnie stanęły baraki mieszkalne. Przez czas budowy baraków byliśmy pod gołym niebem.

Baraków mieszkalnych wybudowaliśmy dwadzieścia siedem. W każdym baraku były cztery sekcje. Te dzieliły się na osiem brygad. Jedna brygada, to 30 - 35 osób. Więźniów było 17000.

Oprócz baraków mieszkalnych wybudowaliśmy: magazyny żywnościowe, kuchnię, magazyny odzieżowe, ośrodek zdrowia, budynki administracyjne.

Poza terenem obozu były baraki dla ochrony i strażników. W baraku mieliśmy prycze piętrowe. Każdy dostał jeden koc i materac napełniony trocinami drzewnymi. Spimy jeden przy drugim.

W baraku był piec tj. duża żelazna beczka, w której paliło się bez przerwy. Piec stale rozpalony do czerwoności, a ściany baraku oblodzone od ziemi na wysokość 50 centymetrów.

Dostaliśmy ubranie: watowane spodnie, bluzę, czapkę uszatkę i buszłyk /buszłyk, to kaptur osłaniający twarz przed odmrożeniem/. Rękawice, buty walonki i buty brezentowe.

Pracuję w brygadzie odkrywkowej w kopalni niklu. W brygadzie jest trzydzieści pięć osób.

Narzędzia pracy: kilof, łopata, taczki i pręt żelazny. Pręt żelazny rozgrzewaliśmy w ognisku, następnie wbijali w zamarznęta ziemię. Później kilofem odbijaliśmy ziemię, skałę i wywoziło się taczkami na zwał. Po miesiącu takiej pracy, wa-

runki zmieniły się. Wbijaliśmy kilka rzędów prętów żelaznych i podłączało się prąd z agregatora. W ten sposób rozmrażało się ziemię.

Przy temperaturze minus czterdzieści pięć stopni Celsjusza maszyny były wyłączone, bo pękały liny. My pracowaliśmy.

Wiatr - "purga" tak silny, że sprasowany śnieg, który myśmy rozbijali kilofami, te góry śniegu wiatr przenosił. Kamienie wielkości jajka leciały jak piórko.

Wyżywienie

Brygady robocze dostawały czterdzieści dekagramów chleba i czerpak zupy "bażandy" przed wyjściem do pracy. W południe zapiekanka z owsa, ale z czego była zrobiona, to trudno powiedzieć. Wieczorem po przyjsciu z pracy czerpak "bażandy".

Jak wyrobiło się 105% normy, to dodatkowo dawano dziesięć dekagramów kaszy i dziesięć dekagramów chleba.

Zorza polarna - ten przepiękny widok, to jedyna chwila radości, oderwania się od koszmaru.

W okresie zimy trzeba było robić tunele w śniegu, aby przejść od baraku do baraku.

Do ubikacji nie można było dojść. Załatwialiśmy się w wykopanej w śniegu dziurze.

W lecie chodziliśmy do wybudowanych ubikacji. Nieczystości były wywożone przez brygady karne. Ubikacja co pewien czas chlorowana.

Kąpiel raz w tygodniu. Po pracy, szliśmy w nocy brygadami do łaźni pięć kilometrów. Kąpiel w parówce bez mydła. Nasze ubrania dawaliśmy do dezynfekcji. Dostawaliśmy czystą bieliznę osobistą i z dezynfekcji swoje jeszcze wilgotne ubranie. W drodze powrotnej ubranie na nas zamarzało.

Rano pobudka do pracy o godzinie piątej. Tej nocy niewiele mieliśmy wypoczynku.

O godzinie szóstej wychodziliśmy do pracy piątkami, trzymaliśmy się pod ręce.

Brygadzysta zdawał raport dyżurnemu ilu jest chołych, oraz ilu więźniów wychodzi do pracy.

W bramie stało czterech strażników. Liczyli wychodzących więźniów.

Przed wymarszem do pracy, konwojent codziennie mówił: "krok w lewo lub w prawo - uważa się za chęć ucieczki. Konwojent użyje broni bez ostrzeżenia"!

Droga do pracy uciążliwa, śliska. Poślizgnąć się, to znaczy wychylić z szeregu. Wtedy pada strzał!

Konwojenci szli w odległości co dwa metry, co piąty konwojent miał psa na smyczy.

W czasie pracy jak ktoś chwileczkę przystanął, aby odpocząć, a strażnik zauważył, to bił pałką. Krzyczał: "ty przyjechałeś tutaj wypoczywać"?

Raz na trzy miesiące był wolny dzień od pracy. A w niedzielę pracowaliśmy tylko wewnątrz obozu.

W Norylsku, w okresie epidemii grypy ponad trzystu więźniów nie wyszło do pracy. Zwolnienia lekarskiego nikt nie miał. Lekarz obozowy mógł wydać w ciągu dnia tylko sto pięćdziesiąt zwolnień na cały obóz.

Więźniowie zostali oskarżeni za odmówienie pracy-sabotaż. Władze obozowe wybrały spośród chorych, dziesięciu więźniów. Rozebrali ich do bielizny. Rozkazali usiąść na sankach /sałatki/. Przy temperaturze minus czterdzieści stopni Celsjusza, wieźli ich pięć kilometrów do miejsca pracy. Z dziesięciu więźniów, którzy zamarli, zapamiętałem nazwisko: Łachoda-Rosjanin.

W Kijowie stosowano inne represje. Do pustego pomieszczenia, gdzie były pochły, wprowadzano więźnia na pół godziny. Momentalnie całe ciało miał pokryte pochłami. Okrutna tortura!

Przez cztery miesiące pracowałem na odkrywce. Trzeba było wywozić taczka 4 1/2 m ziemi. Nigdy tego nikt nie mógł wykonać.

Strażnik mówił do nas: "twoja praca nie jest nam potrzebna, tylko twoja męka, abyś odkupił swoją winę przed ojczyzną".

W czasie godzinnej przerwy można było ogrzać się w baraku na terenie pracy. Do tego baraku wchodziliśmy brygadami.

Skierowali mnie do kopalni węgla pod ziemią. Zjechałem na dół, ale nie poszedłem do pracy pod ziemią. Siedziałem dwanaście godzin przy pierwszym punkcie i czekałem na brygadę. Wróciłem z nimi do obozu. Zostałem wezwany do śledczego na przesłuchanie.

Tłumaczyłem się tym, że jestem Polakiem i jako cudzoziemiec odmawiam pracy w kopalni pod ziemią. Przyjmę każdą inną pracę.

Zostałem zamknięty w karcerze na trzy miesiące. Przez pierwsze dwa dni w karcerze dostałem dziesięć dekagramów chleba i kubek wody. Trzeciego dnia trzydzieści dekagramów chleba i bałandę rano, oraz wieczorem. Czwartego dnia na zmianę znów dziesięć dekagramów chleba i kubek wody.

W karcerze nie wolno było siedzieć.

Do śledczego byłem wzywany. Proponowano mi darowanie kary, jeśli zgodzę się na pracę w kopalni. Odmówiłem.

Po trzech miesiącach karceru dali mnie do pracy do brygady karnej.

Trzy brygady karne, w których byłem, miały za zadanie przygotowania kamienia do budowy linii kolejowych. Olbrzymie kamienie ściągaaliśmy ze skał na specjalnych blachach. Kamienie rozbijaliśmy ręcznie i drobny kamień wywoziliśmy na nasyp kolejowy. Praca od rana do zmroku pod ścisłym nadzorem.

Strażnik mówił nam: "jak upadniesz nie będziesz miał siły, my ci pomożemy podnieść się, abyś mógł swoją winę cierpieniem i męką wobec Związku Radzieckiego naprawić"!

Dostajemy w ciągu dnia: jeden raz dziennie czterdzieści dekagramów chleba, trzy razy "bażandę", jeden raz jedna łyżka kaszy na gęsto.

Następnie przydzielono mnie do pracy przy budowie wieży ciśnień.

Taczkami po stromym zboczu w górę na wysokość sześciu metrów woziliśmy beton. Dwóch kolegów ciągnęło taczki, a ja pchałem. Na górze czekały na nas już puste taczki i strażnik, który popędzał, aby wozić beton szybciej. Norma dzienna osiemdziesiąt taczek betonu wywieźć na górę.

Z radia dowiedzieliśmy się o śmierci Stalina. Z tej wiadomości cieszyli się wszyscy. Tylko część Rosjan była smutna. Praca została wstrzymana na pięć dni. Nie wolno nam było opuszczać baraku. Po pogrzebie Stalina, następnego dnia poszliśmy do pracy.

Zachorowałem na nogi. Lekarz twierdził, że to choroba Buergera. Z tego powodu dali mnie do pracy w ośrodku zdrowia. Pracowałem w rejestracji przez cztery miesiące. Po tym okresie czasu skierowali mnie do kopalni niklu. Moim zadaniem było pilnowanie przewożenia urobku z kopalni do wagonów. Tak minęły kolejne cztery miesiące i zabrali mnie do szpitala.

Organizm mój był kompletnie wyniszczony. Miałem kurzą ślepotę, cyngę, czarne plamy po ciele. W szpitalu leżałem półtora roku.

Dostałem zastrzyki rozszerzające naczynia krwionośne, witaminy.

W szpitalu otrzymywałem czterdzieści pięć dekagramów chleba, zupę mleczną lub "bałandę".

Przeszedłem lewostronne zapalenie opłucnej z wysiękiem. Punkcję trzykrotnie robił mi lekarz - Gruzin. Przy pierwszej punkcji wyciągnął około dwa litry płynu surowiczego.

Zlecił mi wówczas dodatkową porcję żywności i tran. W późniejszym czasie przeszedłem operację hemoroidów.

W sali chorych było nas dwanaście osób. Opieka lekarska i stosunek do nas dobry.

W tym szpitalu pracował dr. Kociuba z Drohobycza. On leczył moje chore nogi. Dr. Kociuba - Ukrainiec pracował jako lekarz w Hodorowie koło Stryja. W Norylsku miał wyrok dwadzieścia pięć lat więzienia.

Jeden ze strażników został postrzelony w okolicę serca, przez drugiego strażnika. Dr. Kociuba zrobił operację. Przebiegła pomyślnie. Uratował strażnikowi życie. Uratował również siebie. Zmniejszyli mu wyrok o dziesięć lat.

Bunt w Norylsku k znam z opowiadań kolegów. Leżałem wówczas w szpitalu.

W dniu 18 lub 20 maja 1953r rozpoczął się generalny strajk w obozach Norylska. Do nas, do szpitala dotarła wiadomość, że więźniowie, którzy poszli na ranną zmianę, odmówili powrotu do obozu. Zarządzali pełnych praw humanitarnych, zniesienia konwojentów, zezwolenia na korespondencję, otwarcia wszystkich baraków.

Wśród straży obozowej powstało zamieszanie. Ktoś dał rozkaz strzelania z karxy wieżyczek do więźniów w obozie. Szpital też był ostrzelany. Leżeliśmy pod łózkami. Nikt nie został zabity, ani ranny. Natomiast w barakach byli zabici. Widziałem jak później wynosili zwłoki. Strzelanina trwała półtorej godziny. Ucichła. Naczelnik wezwał do posłuszeństwa i wyjścia do pracy. Więźniowie odmówili. Sytuacja pogarszała się z dnia na dzień.

Porządek w baraku utrzymywali sami więźniowie. Do obozu miał jedynie wstęp naczelnik ośrodka zdrowia.

Racje żywnościowe zmniejszyli sami więźniowie o 50% ze względu na to, że nie wiedzieli jak długo strajk będzie trwał. Były próby łamania strajku przez "stukaczy". Zostali oni zamordowani. Znikali w niewiadomy sposób.

Po dwóch tygodniach został ogłoszony czarny strajk. Kuchnia przestała gotować. Pojawiły się na kuchni i barakach czarne flagi.

Przyjechała delegacja rządowa z Moskwy. Delegacja siedziała przy stoliku na zewnątrz obozu przy bramie. Po stronie wewnętrznej siedzieli więźniowie - organizatorzy strajku.

Do wymienionych wcześniej postulatów doszedł jeszcze punkt, że organizatorzy strajku nie będą pociągani do odpowiedzialności. Umowa została podpisana. Strajk zakończony około 20 czerwca 1953r.

Poprawiło się wyżywienie, zezwolono na korespondencję. Konwój został zniesiony. Do pracy więźniowie szli tak zwanym korytarzem. Szli pasmem szerokości 50 metrów luźno i w ten sam sposób wracali z pracy. Strażnicy stali co dziesięć metrów po obu stronach drogi. Zmniejszyła się agresywność strażników.

Po pewnym czasie władze obozowe zaczęły wyłuskiwać przywódców strajku. Wybierali ich i rozwozili po innych obozach.

Wyszedłem ze szpitala, wróciłem do sekcji jako porządkowy i tak pracowałem do grudnia 1954r.

Następnie przenieśli mnie z Niedźwiedziego Ruczaju do Norylska Dolnego. Tam również pracowałem w baraku. Tak było do marca 1955r. Nadal czułem się źle, nie mogłem chodzić.

Ponownie przenieśli mnie do Niedźwiedziego Ruczaju. Zmienili mi pracę. Prowadziłem konia, który ciągnął urobek z kopalni niklu do wagonów - miejsca wyładunku. Od pracy fizycznej byłem zwolniony. Tak pracowałem do czerwca 1955r. W tym czasie wyszło rozporządzenie Rady Ministrów ZSRR, że kto odbył dwie trzecie wyroku może być przedwcześnie zwolniony z obozu. Do tej grupy ja się zaliczałem.

Administracja obozu składała wnioszek. Odbyła się ponowna rozprawa.

Po burzliwej i ostrej wymianie słów, zostałem zwolniony w sierpniu 1955r z dalszego odsiadki kary.

Zamieszkałem już w barakach z wolnymi ludźmi poza obozem. Pracuję jednak nadal w kopalni. Od chwili zwolnienia mnie z aresztu, za pracę dostaję wynagrodzenie. Miesięcznie tysiąc sześćset rubli.

Moi rodzice nie wiedzieli gdzie jestem i czy żyję. Mimo to, pisali do Moskwy.

Pierwszą odpowiedź otrzymali 2 IX 1948r, że Tadeusza Jaworowskiego nie ma.

Druga odpowiedź przeczyła pierwszej. Tadeusz Jaworowski nie ma życzenia powrotu do kraju. Wszystkie listy i pisma urzędowe mam zachowane do wglądu.

W dniu 6 I 1955r otrzymałem pierwszy list od rodziców. Po nawiązaniu kontaktu z rodzicami zacząłem starać się o wyjazd. Wcześniej pisałem do: Rady Ministrów ZSRR, Ministra Spraw Wewnętrznych. Pisałem do Bułganina i Kalinina. Na moje listy nie dostałem odpowiedzi.

Rodzice wysłali potrzebne mi dokumenty potwierdzone przez władze w Polsce, abym mógł wrócić do kraju. Ja tego nie otrzymałem. Na prośbę z mej strony, nadal brak odpowiedzi.

Po przedterminowym zwolnieniu mnie w sierpniu 1955r zgłosiłem się do punktu, gdzie składało się dokumenty o wyjazd do Polski.

Wypełniłem odpowiednią ankietę. Pułkownik, który przyjmował dokumenty, zapytał mnie po co mam jechać do Polski? Polska to jest ZSRR. Pokazał na swojej dłoni. "W środku jest Polska, a przy zamknięciu dłoni Polski nie ma". Odpowiedziałem, że tam są moi rodzice i tam chcę wrócić.

W dniu 2 X 1955r w punkcie zgłoszeń została wywieszona lista osób, które uzyskały zezwolenie na wyjazd. Byłem na tej liście.

Zwolniłem się z pracy, zdałem robocze ubranie. Od 20 X 55r do 30 XI 55r czekaliśmy na samochód.

W dniu 1 XII 1955r zawieźli nas na lotnisko w Norylsku.

Tam ponowne pytania: "za co sądzony, wyrok, gdzie odbywał karę, gdzie jedzie"? Na koniec zdanie: "Nie roźdzcę żadnych pretensji do ZSRR". Zarządzali, aby się pod tym podpisać. Zaznaczyli, jeśli odmówimy podpisu, nie wyjedziemy. Podpisaniem - wszyscy podpisali.

W dniu 2 XII 55r byliśmy w Krasnojarsku. Z lotniska odwieźli nas samochodami do hali sportowej, gdzie czekaliśmy cztery dni. Spaliśmy na materacach. Żywili nas dobrze, trzy razy dziennie.

Czwartego dnia zawieźli nas samochodami na dworzec kolejowy w Krasnojarsku. W wagonach "pulmanach" umieścili po sześć osób. Wyjechaliśmy 7 XII 1955r.

W Krasnojarsku władze pożegnały nas uroczyście. W przemówieniu powiedziano: "w zawierusze wojennej Polacy przypadkowo znaleźli się na terenie ZSRR". Orkiestra odegrała: "Jeszcze Polska nie zginęła". Pociąg odjechał.

Każdego dnia dostawaliśmy na większych stacjach trzy razy dziennie gorący, dobry posiłek.

W Przemyślu byliśmy 25 XII 55r Komisja Repatriacyjna z Przemyśla przyjęła nas i odwiozła do punktu Repatriacyjnego w Żurawicy Górnej.

W Żurawicy dostałem bilet do Gorc, gdzie mieszkali rodzice. Z podróży wysłałem telegram do rodziców, aby ich przygotować do tego, że wracam. Mama chorowała na serce. Ze mną wracał Michał Gajewski i Alfred Urban.

Do Gorc przyjechałem 31 XII 1955r o godzinie 11³⁰. Wszedłem do domu rodziców. Mama na mój widok zemdląła.

Tato w tym czasie był u fryzjera. Ktoś ze znajomych zawiadomił ojca. Biegł do domu całą drogę. Na schodach zemdlął.

Dopisek

Moja mama była również w AK. Jej praca polegała na nocowaniu łącznika ze Lwowa i kontaktowaniu z "Wiktorem" Komendantem AK z Drohobycza. Łącznikiem między "Wiktorem" a mamą była pani Balicka-Pietruniak.

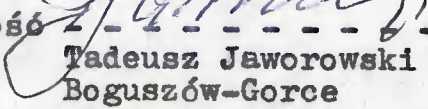
Mój brat Eugeniusz Jaworowski urodzony 1915r jako żołnierz Wojska Polskiego walczył w obronie Warszawy we wrześniu 1939r. Dostał się do niewoli niemieckiej, z której udało mu się uciec. Wracał do domu rodzinnego.

W Przemyślu został aresztowany przez władze radzieckie. Zesłany na Kołymę.

Miał szczęście. Wydostał się z Armią Andersa. Walczył we Włoszech.

Po wojnie zamieszkał w Argentynie. W 1977r ze swoją rodziną odwiedził rodziców.

Brat zmarł w Argentynie w 1989r.

Za zgodnością 
Tadeusz Jaworowski
Boguszów-Gorce
ul Kochanowskiego 7
tel 506

Wspomnienia spisała
Czesława Tarnawska

Boguszów-Gorce dnia, 20 III 1991r

Pan Tadeusz Jaworowski przekazał kserokopię koperty listu wysłanego do rodziców z Norylska.

